NUMER 32. DNIA 7. SIERPNIA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

ARCHIMANDRJA UNIOWSKA.

Przeprowadzana obecnie restauracja starożytnego ongi monasteru bazyljańskiego w Uniowie pow. przemyślańskiego, zwróciła uwagę archeologów na to zacisze, dziś znane tylko jako letnia siedziba metropolitów lwowskich i miejsce dorocznego a sławnego jarmarku. W toku bowiem prac restauracyjnych, nawiasem mówiąc bardzo prymitywnie i po części niedbale dokonywanych, odkopano jeszcze ubiegłej jesieni starożytną kryptę podziemną, w której znalazły się dwie trumny, z ciekawymi szczątkami kultury i cywilizacji mniej więcej z końca szesnastego wieku. Odkryciem tem zainteresowała się nawet wiedeńska komisja centralna dla zabytków sztuki i lwowskie koło konserwatorów, a to przyczyni się może do zwrócenia baczniejszej uwagi i na sam monaster, który ze stanowiska historji sztuki i cywilizacji w zupełności zasługuje na troskliwą opiekę.

Monaster uniowski, czyli, jak go dawne akta nazywają, „uniejowski“, odegrał w dziejach Rusi wybitną rolę, jako ognisko cywilizacyjne, handlowe, siedziba drukarni, jako archimandrja wreszcie bazyljańska, związana i osobami i stosunkami z lwowską stolicą władyków i siłą tych stosunków podnosząca się, to upadająca. Był czas, kiedy archimandryta uniowski — *abbas uniejoviensis* — piastujący równocześnie bardzo często i godność episkopa lwowskiego nadawał ton i wskazywał drogi potężnej regule św. Bazylego, jak na przykład w czasie ogólnego soboru ihumenów w Uniowie r. 1711, był także czas kiedy posiadanie monasteru uniowskiego, decydowało o znaczeniu i powadze biskupów lwowskich. Niestety bibljografja historyczna archimandrji uniowskiej, nie wyszła jeszcze poza drobne a sumaryczne wzmianki przygodne.



POŁUDNIOWA CZĘŚĆ MONASTERU — LETNI PAŁAC METROPOLITÓW.

W głuchej puszczy leśnej, która i dziś przypiera do samych murów klasztoru, w odległości półtorej mili od najbliższego miasteczka Glinian, w miejscu ukrytem, choć na samym prawie szlaku tatarskim położonem, u obfitego źródła wody, osiedli gdzieś jeszcze w XIV. wieku pustelnicy, reguły św. Bazylego, albo też osadzeni tam zostali przez księcia litewskiego Teodora Lubartowicza. W roku 1401 nadał im Władysław Jagiełło przywileje i spory szmat ziemi, w sto czterdzieści lat później (1542)

Zygmunt August wyniósł ich ihumena do godności archimandryty, a u schyłku XVIII w. (r. 1790) cesarz Józef II. skasował monaster, a dobrami jego uposażył metropolję lwowską.

W tych granicach czasu przeżył monaster uniowski swoją historję, już to pod patronatem świeckich prowizorów czyli opiekunów, bądź też pod bezpośrednią opieką władyków lwowskich. Ufortyfikowany murem obronnym i basztami, choć pod względem sytuacji strategicznej bardzo nieszczęśliwie położony, bronił się monaster kilkakrotnie od napadu Tatarów, a raz nawet od własnego archimandryty. Ten ostatni wypadek zdarzył się w r. 1597, kiedy awanturniczy władyka lwowski Gedeon Bałaban, zająwszy



BASZTA MONASTERU BAZYLJAŃSKIEGO OD STRONY PÓŁNOCNEJ.

monaster, oddał go swemu synowcowi Jonie, dla którego też wystarał się o tytuł archimandryty. Mnisi jednak podnieśli przeciw narzuconemu zwierzchnikowi otwarty rokosz, wypędzili go przemocą z monasteru i wybrali równocześnie prowizorem Jerzego Ulanieckiego. Jona Bałaban nie dał jeszcze za wygraną, bo niemogąc przemocą wedrzeć się do obronnego monasteru, porozumiał się z prowizorem Ulanieckim, zdradą opanował klasztor, rozpędził wojowniczych mnichów na cztery wiatry i złożywszy sobie nowy konwent, panował nad nim w spokoju.

Niemniej zaciętą walkę stoczył monaster uniowski z lwowską Stauropigją o przywilej drukarski. W latach 1669—71 założył ówczesny archimandryta, a późniejszy biskup lwowski, Warłaam Szeptycki drukarnię w Uniowie. Zaoponowała przeciwko temu Stauropigja, mająca wyłączny przywilej drukowania ksiąg cerkiewnych i uzyskała od króla Michała dekret, zakazujący mnichom uniowskim drukarstwa. Mimo to drukarnia istniała dalej, jak tego dowodzą zachowane gdzie niegdzie druki uniowskie z lat 1680, 1685, gdy zaś Stauropigja, poczęła je bezwzględnie tępić, podszywali się mnisi Uniowa pod firmę drukarni Poczajowskiej i stąd pochodzi, że druki uniowskie stanowią dziś rzadkości bibljograficzne.

Sprawa drukarni stanęła jednak na ostrzu miecza, gdy biskupem lwowskim został Atanazy Szeptycki, który miał dawne rachunki z bractwem stauropigjalnem. Na złość bractwu wznowił on w r. 1733 drukarnię w Uniowie i wydał w tymże roku pierwszą książkę cerkiewną „Służebnik“. Stauropigja podniosła niesłychany gwałt, ale zachowane jeszcze druki uniowskie z lat 1740, i 1747, dowodzą, że drukarnia istniała aż do śmierci Atanazego Szeptyckiego.

Po za tymi sporami ożywiał się monaster uniowski raz w rok w czasie dziesięciodniowych jarmarków przy końcu sierpnia, na które zjeżdżali się kupcy od Lipska aż do Carogrodu. Dziś jeszcze na jarmark uniowski spieszy przeciętnie 12 do 14 tysięcy ludności, a nie brak na nim kupców z Siedmiogrodu i z dalszych jeszcze stron.

Ostatnimi archimandrytami uniowskimi byli Ambroży Turzański (do r. 1774) i Onufry Bratkowski (do r. 1790).

Mimo radykalnej przebudowy, którą dokonał, jak świadczy na pół rozbita tablica kamienna, w r. 1741 Atanazy Szeptycki, zachował monaster uniowski wiele ze swego archaicznego charakteru i resztek owej bazyljańskiej rusko-polskiej kultury z XVII. wieku. Nastrój i wspomnienia z ubiegłych wieków przemawiają tam z całości i z każdego szczegółu tak, że nie potrzeba nawet głębokich studjów, aby się w wyobraźni zarysował żywo monaster obronny, najeżony czterema basztami i strzelnicami, obwiedziony w czworobok budynkami, stanowiącymi na zewnątrz obwarowania, a od wnętrza cele mnisze, mieszkanie archimandryty, drukarnię, podcieniowe krużganki, cały szereg komnat mieszkalnych i ubikacji gospodarczych, wszystko to razem zabudowane w wielkiej ciasnocie, dokoła cerkwi i cmentarza, założonego kamieńmi grobowymi.

Po obu rogach ściany zachodniej, w której znajduje się brama wjazdowa sterczą dwie zupełnie

jeszcze dobrze zachowane baszty sześcioboczne, z których jedną przedstawia nasza rycina według zdjęcia fotograficznego. Baszty te o dwu kondygnacjach, względnie niskich piętrach, zatraciły wewnątrz, z powodu grubości muru, swój sześcioboczny charakter i przedstawiają nieforemne komory z licznemi framugami, urządzonemi, jak widać, dla strzelców lub na łożyska armatnie. Obie stoją obecnie pusto, lub służą częściowo za skład różnych rupieci. Brama wchodowa, wąska, z kamiennymi obramieniami w stylu renesansowym, zeszpecona jest prowizorycznym drewnianym daszkiem. Tuż obok bramy, po lewej stronie znajduje się bardzo obfite źródło wody, wypływające jakby z cmentarza na wieczną pamiątkę zaniedbania hygjenicznego wieków ubiegłych. Od wnętrza biegnie wzdłuż tej ściany podcieniowy krużganek z murowanemi arkadami, a nad nim na pierwszem piętrze długa a wąska sala, w której, jak niesie tradycja miejscowa, pomieszczona była drukarnia, względnie zecernia.

Drugą ścianę czworoboku od południa tworzy zbudowany na miejscu dawnej fortyfikacji przez Atanazego Szeptyckiego, pałac, stanowiący dziś letnie mieszkanie dla metropolitów lwowskich: budynek piętrowy z szeregiem sal na górze, z szeroką bramą wjazdową wychodzącą na starannie utrzymany park, który według wszelkiego prawdopodobieństwa stanowił dawniej t. z. „podgródek“, miejsce schronienia i obrony dla ludności okolicznej w razie niebezpieczeństwa.

O ile jednak ta część monasteru jest stosunkowo nowszego pochodzenia, o tyle dwie dalsze ściany czworoboku, otaczającego cerkiew, zachowały prawie w całości swój dawny charakter. W budynku wschodnim wzdłuż niskiego korytarza ciągnie się długi szereg malutkich cel mniszych, dziś służących na składy i spiżarnie, w północnej wreszcie połaci parterowej, ozdobionej kamiennemi obramieniami drzwi i okien znajduje się kilka większych sal widocznie na refektarze lub ogólne zebrania mnichów przeznaczonych. (D. n.)

Fr. Jaworski.

Sprawa Józefa Kapuścińskiego.

(Dokończenie.)

Czy związkowi rzeczywiście mieli zamiar pozbawić Markla życia, jest to rzeczą bardzo wątpliwą, choćby z tego powodu, że będąc dostatecznie uzbrojonymi, nie potrzebowali go wlec aż do sieni i na podwórze, gdzie prawie że przypadkowo doznał śmiertelnego skaleczenia z przebicia przez Góreckiego. Zresztą zdaje się, że planem związkowych było, wyruszywszy z Dęborzyna, wpaść na pocztę w Pilznie, zabrać stamtąd wozy, wziąć ze sobą, albo uczynić nieszkodliwym Markla, a potem dalej pojechać. Sama śmierć burmistrza chyba nie leżała w planach powstańców, żadnej bowiem korzyści im nie przynosiła.

Udział Kapuścińskiego trudno dokładnie oznaczyć z tego powodu, że ich razem trzech działało. Można chyba przypuszczać, że on, jako mający z burmistrzem dawne obrachunki, mógł nakłaniać do napadu, potem jako znający rozkład mieszkania, trzech innych prowadził, a przytem, jako krewki z natury, najgłośniej na burmistrza krzyczał. Wprost niemożliwem zaś jest bliżej określić, o ile swemi uderzeniami stał się bezpośrednią przyczyną śmierci Markla.

Pozostawiwszy trupa w kuchni, wszyscy czterej udali się na drogę, gdzie ich oczekiwały sanki pocztowe, a złączywszy się z resztą, pojechali przez Wygodę, gdzie się chwilę zatrzymali, do Łukowa, stąd bowiem o godzinie drugiej mieli urządzić napad na Tarnów. Tymczasem zaszły rzeczy, przez powstańców wcale nie przewidywane, bo oto podburzone chłopstwo we wsi Lisiej górze wszystkich ich schwytało i do piwnicy karczemnej powiązanych zapakowało. Uciekł tylko jeden Janikowski na to, by w innej wsi zginąć z rąk rozbestwionych koło Smykowa.

Już bowiem na dość długi czas naprzód urzędnicy i inne organa, rządowi oddane, nauczali chłopów, jak mają postąpić z „panami“.

Nazajutrz rano odstawiono porządnie zbitych przez chłopów pod eskortą przybyłych szwoleżerów do Tarnowa. Tam też w parę dni potem zaczęły się przesłuchania. Cała więc działalność Kapuścińskiego i jego towarzyszów nie trwała długo, ale za to bez porównania dłużej i owocniej ciągnęło się śledztwo urzędowe.

Prowadzone przez specjalną komisję sądową, odbywało się śledztwo prawie równocześnie w Pilznie i w Tarnowie, — w miejscowości pierwszej przesłuchiwano rozmaitych świadków, przeważnie co do zamor-

dowania, w Tarnowie zaś wybadywano więźniów i kilku świadków. Rezultatem tych obu śledztw prowizorycznych było sprawozdanie, wysłane do Lwowa, z tego dotychczasowego śledztwa.

Odpowiedzią na nie była rezolucja lwowskiego sądu z 9. lipca 1846, której mocą Kapuściński, obaj Szumańscy, Siekierski, Danielewicz i Górecki zostali oskarżonymi o „zbrodnię zdrady głównej“ i morderstwo.

Już na podstawie tego dotychczasowego śledztwa nabrano przekonania, że najgłówniejszym sprawcą zbrodni, jej kierownikiem i podżegaczem był Kapuściński. On bowiem jeden był z pomiędzy czterech napadających najlepiej znanym w domu burmistrza, to też zeznania i Marklowej i przesłuchiwanych domowników zwróciły się na niego.

Gorszym był jeszcze dla Kapuścińskiego wynik śledztwa we Lwowie. Dotąd bowiem jego towarzysze zaprzeczali swego udziału w zbrodni, starając się ściągnąć winę na jakichś nieznajomych, dopiero pierwszy Górecki, przywieziony jeden tylko do Lwowa 27. lipca, przyznał się, prawdopodobnie skuszony wolnością, że to on sam zadał śmiertelną ranę burmistrzowi, lecz wszystko czynił z namowy Kapuścińskiego.

Śledztwo teraz mogło raźniej postąpić, to też i resztę sprowadzono 6. września do Lwowa, gdzie też Kapuścińskiego umieszczono w małych koszarach celi Nr. 3. Następnego dnia przesłuchano go, lecz on wszelkie oskarżenie odpierał i jak to komisja zauważyła „mit besonderer Kühnheit seine Unschuld behauptete“.

Następne przesłuchanie musiano jednak z braku papierów odroczyć na cały miesiąc. Cała komisja była, niestety, względem niego jak najgorzej usposobioną. W następnych przesłuchaniach, gdy wciąż się zachowywał „frech“ i wypierał się wszelkiej winy, postanowiono skonfrontować go z jego towarzyszami, którzy wszyscy tymczasem prędzej czy później przyznali się do współudziału. Przyznaniom tamtych towarzyszyły często bardzo przykre momenty, że wspomnę tu o jednym, jak to, że Eustachy Szumański świadczył przeciw swemu bratu Leonowi i obaj zarzucali sobie kłamstwo.

Po przyznaniu się do wspólnictwa czynu, wszyscy prawie zwalali winę na Kapuścińskiego, a po części i na Janikowskiego, jako tych, którzy ich namówili do morderstwa i do wstąpienia do związku.

Nawet przy konfrontacji jednak Kapuściński wypierał się wszelkiej winy, twierdząc że działał tylko pod przymusem, bo w przeciwnym razie, czekała go kara śmierci, zresztą udziału w morderstwie jak najsilniej się wypierał.

Wreszcie komisja uznała go „ein für die bürgerliche Gesellschaft stets gefährliches Subject“ i zakończywszy śledztwo, akta oddała sądowi.

Tymczasem rodzice Kapuścińskiego, dowiedziawszy się o odstawieniu syna do Lwowa, nie wiedząc dokładnie o jego losie, wysłali prośbę do cesarza o ułaskawienie, na które jednak prezydjum sądu karnego odpowiedziało 31. grudnia, żeby zaczekali na wynik śledztwa.

Jednakowoż już 7. stycznia 1847 sąd lwowski wydał wyrok, którego mocą Szymon Górecki, Leon Szumański, Józef Siekirski i Józef Kapuściński są winni zdrady stanu i morderstwa, Eustachy Szumański, Gabrjel Danielewicz i Jan Michalski zbrodni stanu, a wobec tego zostają skazanymi: Górecki na lat 16 więzienia, Leon Szumański 18 lat, na karę śmierci zaś, w następującym porządku wykonać się mającej, najpierw J. Michalski, Danielewicz, E. Szumański, J. Siekirski, a wreszcie ostatni J. Kapuściński.

Wszyscy mieli zapłacić koszta procesowe, a nadto obaj Szumańscy zostali pozbawieni szlachectwa.

Wyrok ten jednak musiał pójść pod zatwierdzenie wyższych instancji, na co musiano dłuższy czas czekać. Wśród tego nie zaszła większa zmiana, chyba ta, że przeniesiono Kapuścińskiego 2. czerwca z celi Nr. 3 pod Nr. 23. Wreszcie 29. czerwca przyszło rozporządzenie cesarskie, którego mocą karę śmierci przyznano tylko Kapuścińskiemu, czterem zaś innym darowano życie.

Wobec tego wyrokiem sądowym z dnia 1. lipca został Kapuściński skazany na karę śmierci przez powieszenie, inni zaś na przeciąg czasu od 5 do 20 lat do Grajgóry.

Wyrok ten przeszedł jeszcze przez apelację, stąd odszedł 13. lipca do sądu karnego, a na dzień 28. lipca naznaczono odczytanie tego wyroku więźniom, bo równocześnie miano odczytać wyrok i Wiśniowskiemu. Akt ten miał się odbyć z wielką uroczystością. Już naprzód prosił sąd i dyrekcję policji i komendę korpusu o dostarczenie odpowiedniej straży bezpieczeństwa. Nim wyrok został publicznie ogłoszonym, był najpierw odczytanym oskarżonemu na zgromadzeniu rady sądowej. Pierwszym, któremu był odczytany wyrok i w radzie sądowej i publicznie był Wiśniowski, po nim nastąpił Kapuściński, lecz zanim mu odczytano wyrok w sądzie, prosił o pozwolenie rozporządzenia swym majątkiem, a otrzymawszy je, oddał wszystko Beł-

dowskim, u których dawniej mieszkał, a którzy go jeszcze w ostatnich jego chwilach odwiedzali.

Rząd czuł, jak doniosłemi były te dwie egzekucje, to też ze strony sądu polecono komendzie wojskowej i policji obsadzić zaraz wzgórze tracenia i otoczyć strażą dom, w którym mieszkał kat lwowski, Filip Gurski, któremu do pomocy przyjechał brat jego Franciszek z Czerniowiec. Nadto na wszelki przypadek miano trzymać całą załogę lwowską w pogotowiu.

Przy straceniu mieli stanowić komisję sądową radcy sądu Kuryłowicz, Filous i Mossing, a nadto kanceliści Semkowicz i Bauman. Z tych Kuryłowicz tak dobrze się popisał, że aż otrzymał osobną pochwałę.

Ostatnie chwile obu są znane. Cała egzekucja według rachunków kosztowała rząd 60 zł. Kapuścińskiego wieszał Filip Gurski, za co dostał 15 zł. a dwaj pomocnicy jego 6 zł.

Rząd starał się taką srogą egzekucją odstraszyć innych od knucia podobnych zamiarów na przyszłość. Ażeby zaś o tem wszyscy mogli wiedzieć, rozsyłano wydrukowane specjalnie w tym celu wyroki po wszystkich miastach powiatowych, jeneralnej komendzie oddano 500 sztuk takich wyroków po niemiecku wydrukowanych, 100 sztuk po polsku.

Dyrekcja policji krakowskiej nawet sama prosiła o przysłanie im tych wyroków, co też sąd uczynił, wysyłając 20 sztuk niemieckich a 20 polskich.

W ten sposób zakończyła się krwawa tragedja r. 1846. Kosztowała ona niemało krwi, mnóstwo zginęło pod cepami, a ci dwaj na szubienicy.

Działalność Wiśniowskiego i Kapuścińskiego była nierówną, bo pierwszy był najczynniejszym emisarjuszem całej niemal Galicji, a nawet piastował wysokie godności narodowe, drugi zaś działał w małem miasteczku i energji swej nie miał gdzie rozwinąć. Jednakowoż i jeden i drugi działali w imię tej samej sprawy i dla tej samej sprawy ponieśli śmierć na szubienicy.

Śmierć męczeńska i zaszczytna zrównała ich obu i wprowadziła do panteonu męczenników narodowych.

Bronisław Pawłowski.



Z dawnych lat.

Było to w roku 1812.

Na sandomierskie łany noc zapadła. Szła noc jesienna z deszczem, wichurą, wściekłym szumem i jękiem gnących się drzew, tęskna, ulewą deszczu rozpłakana. Czarne hufce skłębionych chmur, gnały niebieskim gościńcem w bezkresną dal, niby nieprzejrzane chorągwie czarnych rycerzy zaklętych, pędzących w przestrzeń na oślep, byle prędzej i dalej.

Na ziemi zaś wicher wył.

Wył z furją niepojętą na rozłogach i polach, przewalał się na rżyskach z warkoczami deszczu, dziwnym zgiełkiem napełniał bór czarny, wiejskie sady i zagrody.

Wieś spała już. Białe chaty stały ciemne i ciche wśród tej orgji jesiennych podmuchów, jasne, tylko okna dworu dowodziły, że tam jeszcze ludzie spać się nie pokładli.

Dwór stał na wzgórzu; taki dawny, modrzewiowy staruszek, z gankiem na przodzie, gołębnikiem u szczytu, silnie wiekiem pochylony, tulił się do topól, bezpieczny wśród nich przed deszczem i szarugą.

Płomień palących się na kominie bierwion, wesołe i raźne rzucał blaski na pokój i na siedzących przy nim dwoje ludzi. Mężczyzna, starzec wiekiem silnie podeszły, siedział w fotelu, u stóp zaś jego kobieta, dziewczyna, dziecko prawie.

Miło było w tej białej izbie i zacisznie, lecz myśli tych dwojga szły poza te białe ściany, gdzieś dalekimi szlakami, biegły hen, w dal mroczną północy, gdzie poszedł ten, co miał wreszcie świat cały sobie do stóp rzucić, za jego zaś orłami, pół miljona ludzi, dla których był bożyszczem sławy, potęgi i jaśniejszej nadziei.

A dziś w tę jesienną noc szukały ich tęskne i rozpaczne czasem myśli, matek, ojców, żon, sióstr i kochanek; szły ich śladami przez posępne pola północy; tam zaś oni ginęli nędzni, opuszczeni, marni, tęsknica pozostałych męki ich zwiększała, wichry jeno ostatnie westchnienia i jęki z ust im brały i niosły ku swoim. Może dlatego z takim uporem dobijały się do okien, może dlatego, taką ponurą melodję jęku w gałęziach drzew grały. Może...

W izbie cicho było, starzec głowę miał nisko schyloną, zdawałoby się, że drzemie, dziewczyna w ogień patrzała w milczeniu.

Nie mówili nic do siebie, jak gdyby niechcąc daremnemi słowy poruszać tego, co się im do serca wżarło; więc jedno przed drugiem niepokój tęskny i serdeczną boleść kryło nieszczerze, a chociaż

czasem strzymać ciężko było i łza perłą na oku osiadła, to i tak milczeli, rozumiejąc się wzajem, bo ból wspólny mieli oboje.

Jemu poszedł na bój po śmierć, syn jedyny, jej ojciec ; starzec dziadkiem był dziewczyny.

Nagle tę ciszę zadumy przerwał ruch jakiś niezwykły na dworskim dziedzińcu, tentent paru koni. Następnie głos nakazujący pismo z cesarskiej kwatery oddać dziedzicowi !

Złowrogie, jakieś nieokreślone przeczucie ogarnęło dwoje tych biednych.

W chwil parę potem, jezdnych już nie było przed gankiem, w izbie zaś starzec klęcząc, obejmował postać zemdlonego dziewczęcia i cucił łzami serdecznemi; sieroty już oni oboje, sami na tym świecie.

Płomień na kominku przygasł, nie było już w tej izbie tak jasno, jak przedtem.

Na dworze zaś wicher ciągle wył, dobijał się i wstrząsał dziwnie oknami, może niósł właśnie ostatnie pożegnanie konającego. — Może...

Celbasz.

Z obcej niwy.

(Ciąg dalszy.)

Ludzie nie mają ani chęci, ani zdolności wchodzić w cudze cierpienia i nie mało tragedji z tego wynika. Pod tym względem ciekawe są obrazki Czechowa O s t r y g i i T r o s k a. Głodny chłopczyk z ojcem przechodzą koło restauracji, gdzie na szyldzie wypisano: ostrygi. Chłopczyk pyta się co to znaczy, a gdy mu ojciec wyjaśnił, zaczyna z głodu majaczyć i ciągle powtarza: ostrygi! Zbiera się tłum próżniaczy i zaciekawiony tem obłąkaniem dziecka ; składają między sobą 10 rubli i kupują chłopcu ostrygi. A gdyby tych samych ludzi ojciec z chłopcem poprosili na kawałek chleba, to niktby na nich nie zwrócił uwagi.

Dorożkarz Jona Potapow (w T r o s c e) stracił syna. Smutek go dręczy i chciałby z kimś serdecznie ten smutek podzielić. Każdemu z gości, który do jego dorożki siada, pragnie opowiedzieć swe zmartwienie, ale nikt go słuchać nie chce i od pierwszych słów przerywa mu wyznanie. Nieborak wreszcie opowiada swą troskę własnemu koniowi.

W P o c h m u r n y c h l u d z i a c h autor wyraźniej myśl swą wypowiada. Bywają ludzie, którzy chwilowo rozumieją fałsz życia, ale przyzwyczajenie bierze górę nad świadomością. Oto treść noweli P r z y k r o ś ć. Lekarz Owcz. dość apatycznie służy w szpitalu ziemskim i mechanicznie spełnia swe obowiązki. Raz jednak rozgniewał go pijany felczer, (który zresztą codzień się upijał), akuszerka zaś także, jak zwykle, coś zaniedbała. Rozdrażniony wszakże dzisiaj, uderzył felczera — i dopiero wtedy zaczął myśleć o tym przykrym wypadku. Naprzód chce sam na siebie napisać skargę do prezesa zarządu ziemskiego, ale prezes to jego przyjaciel i pewno, zamiast ukarać doktora, oddali skrzywdzonego felczera. Ostatecznie więc poradził felczerowi, aby ten skargę podał na niego do sądu. Felczer tak też postąpił i lekarz otrzymuje wezwanie, ale sędzia, to również jego przyjaciel, a że właśnie i prezes przyszedł do sądu, więc zaczynają familjarnie rozbierać tę sprawę i ostatecznie zdecydowano, że felczer przeprosi doktora, poczem przyniesiono wódkę i zakąskę. Doktor chce protestować, on to rozumiał jako wielki „*cas de conscience*“, a tymczasem... Wreszcie jednak zabrał się do wódki i do zakąski... Zewnętrzna płytkość go zwyciężyła. (C. d. n.)

DR. B. DYBOWSKI.

Alkoholizm i antyalkoholizm.

(*Studjum krytyczne prof. wszechnicy Jagiellońskiej dr. Karola Kleckiego.)*

Gdy za granicami naszego kraju liczne drukują się broszury popularne, których ilość dosięgła już dzisiaj liczby 6000 w samych Niemczech, a następnie dzieła obszerne, naukowe w ilości do 2000, jedne i drugie traktujące o alkoholu, alkoholizmie, antyalkoholizmie etc., — u nas, a szczególniej w Galicji, kwestje takie wszystkie były jak najstaranniej pomijane. Z tej też racji, gdy za granicą, jasną stało się rzeczą, że alkohol we wszystkich swoich postaciach: jak wódki, rumy, koniaki, piwa, wina, miody etc. jest trucizną, to u nas wyrobiło się przekonanie, że wszelkie trunki wyskokowe są napojami niewinnymi, zdrowotnymi, wielce pożytecznymi i niezbędnymi dla życia ludzkiego. Na mocy takiego przekonania utarło się zdanie, które zdołało nawet uzyskać pozory pewnika, iż bogactwem naszem przemysłowem jedynem jest produkcja alkoholu i jego przetworów rozmaitych, więc że traktować o złych skutkach alkoholizmu jest rzeczą wprost niepatrjotyczną, przeciwnie sądzono, że tolerowanie i popieranie fabryk wódczanych popieranie handlów, zajmujących się wysprzedażą trunków wyskokowych, szczególniej z uwagi na ważność sprawy propinacyjnej, były dziełem patrjotycznem. Zresztą paktowanie ze zwyczajami towarzyskimi, narodowymi, z nałogiem osobistym, grało tu bardzo ważną rolę. Jak można np. usunąć toasty z uczt oficjalnych i nieoficjalnych, a wszelkie trunki alkoholiczne z przyjęć świątecznych, z uroczystości rodzinnych, z bufetów sejmowych, kasynowych, klubowych, wieczorkowych, balowych; jak można dalej

pozbawiać dochodów tak godziwych, jakie mają miasta nasze i miasteczka, wsie, obszary dworskie, sklepiki kółek rolniczych etc. ze sprzedaży piwa i wódek. Nie! raczej koniec świata, niż taki radykalizm, który grozi ruiną kompletną naszych finansów i upadkiem naszej towarzyskości. Pomyślmy sobie tylko, wszak bez wódki, piwa i kart żadne kasyno, żaden klub, żadne zebranie towarzyskie istnieć nie może; ustałyby przecież festyny, wycieczki, upadłyby kluby, kasyna etc. Otóż z tych przyczyn, tu pokrótce wymienionych, nietylko, że alkoholizm powszechny nie bywał u nas potępiany, lecz stał się poniekąd zaletą i potrzebą ogólną, niejako duszą naszą. Tak np. na przyjęciach domowych i po ogródkach rywalizują gospodarze i gospodynie ilością „bomb“ wypróżnionych i liczbą butelek wypitych. Wysyłamy następnie na wystawy wszechświatowe piramidy wódek, likierów, chwaląc się tem, że pić umiemy. Szczycimy się, że posiadamy „solidne firmy“, prosperujące przy naszej troskliwej opiece przez setki lat. Wystawiamy na widok publiczny w oknach handlów olbrzymie ilości flaszek i butelek, na znak obfitości naszego przemysłu i naszych konsumentów, każdy prawie dom trzeci lub czwarty naszych miast i miasteczek, a szczególniej przedmieść jest szynkiem, albo piwiarnią.

Gdy ktoś podniesie głos w celu opodatkowania spirytusu, albo piwa, natychmiast krzyczą w niebogłosy, że krzywda dzieje się wielka dla ludu, bo alkohol jest rzeczą niezbędną. Na ten temat szlachetny, altruistyczny, towarzystwa katolickie urządzają odczyty, gdzie „uczeni“ różnego kalibru głoszą, że abstynencja jest „nonsensem“, bo przecie picie nie jest grzechem itd. itd. Takich to warunków bytu społecznego nie śmieli dotykać nasi uczeni lekarze, szli oni w cichości za prądem ogólnym, tolerowali a nawet propagowali używanie trunków wyskokowych, poili chorych po szpitalach i w praktyce prywatnej, uznawali alkohol za środek wielce pożyteczny i niczem nie dający się zastąpić w rękach lekarzy.

Znając cały ten stan rzeczy, przedstawiony powyżej, nie zdziwiliśmy się wcale występem publicznym prof. Karola Kleckiego z odczytem, mającym na celu zwalczanie tow. abstynencji. Jeszcze mniejsze wywarł na nas wrażenie jego traktat, noszący tytuł „A l k o h o l i z m i a n t y a l k o h o l i z m, S t u d j u m k r y t y c z n e“.

Jakie miał cele autor, ogłaszając swój utwór, sam to oświadcza na str. 7, gdy powiada: „Zaszczepienie propagandy abstynencji ostatnimi czasy na ziemi naszej zniewala mię do przedstawienia wiadomości, jakie posiadamy o działaniu alkoholu na ustrój fizyczny i moralny człowieka i do zastanowienia się, czy rzeczona propaganda ze stanowiska nauki lekarskiej jest istotnie uzasadniona“... Otóż mamy główny cel autora, bo reszta pracy jego jest już tylko przygodnym balastem i nosi też na sobie cechy dorywczości i kompilacji. Jabym porównał cały traktat autora do ładunku statku „Malacca“, płynącego pod flagą angielską. Kapitan statku, ażeby ukryć dynamit, wieziony dla Japończyków, nabrał przygodnie niewinny ładunek cukru i tem myślał ukryć swoje zamiary. Prof. Klecki jest wprawdzie bardziej otwarty, niż kapitan „Malacci“, bo nie ukrywa dynamitu, tylko zamilcza, że nie cukier jego ładunku ma jakieś znaczenie dla nas, lecz ów dynamit, przeznaczony dla wysadzenia w powietrze naszych towarzystw abstynencji, które niewiadomo z jakich powodów tak mu obrzydły, że nie mógł nawet wymódz na sobie nazwania ich po imieniu. Nasze towarzystwa abstynencji są dla prof. Kleckiego zbędne „albowiem dobrowolne krępowanie się ustawą stowarzyszenia świeckiego w celach idealnych, mającego na swych członków wywierać wpływ umoralniający. nie przypada do usposobienia narodu o t a k w y b i t n e j i n d y w i d u a l n o ś c i, j a k n a s z“. Widzimy tedy, że prof. Klecki wmawia w nasz naród, albo pomawia go tylko o to, że nie ma on w sobie wcale instynktu moralności, a wszystko to czyni, aby módz oświadczyć nareszcie, że „stowarzyszenia prywatne, których członkowie dla celów idealnych rozmyślnie muszą ograniczać swą wolę w rzeczach codziennego życia, nie są u nas środkiem właściwym dla zwalczania alkoholizmu“. Więc cóż jest środkiem właściwym? Chyba, że nie owa rada autora, którą wypowiada z całą otwartością, prawie cynicznie. „Nie sądzę“, powiada on, „by m o ż n a b y ł o i n a l e ż a ł o u s u n ą ć zupełnie z życia o k o l i c z n o ś c i o w e u ż y w a n i e t r u n k ó w w y s k o k o w y c h“. Gdy innych środków nie podaje autor, jak dobre ustawy, instytucje filantropijne i działalność, zmierzającą do pouczania, więc swoją radę, a ż e b y n i e u s u w a ć z ż y c i a o k o l i c z n o ś c i o w e g o u ż y w a n i a t r u n k ó w w y s k o k o w y c h, prawdopodobnie uważa za najlepszy środek do zwalczania alkoholizmu.

Prof. Klecki zauważył następnie, że „z dotychczasowych dziejów towarzystw abstynencji u nas, to jedno tylko widać, że nie wzbudziły w szerszych kołach szczerego zainteresowania się alkoholizmem, że nie wzrastają liczebnie tak jak stowarzyszenia zagraniczne... że, słowem, nie znalazły w społeczeń-

stwie silniejszego oddźwięku“. Już uprzednio przedstawiłem wdzięki i dźwięki, jakie panują w naszem społeczeństwie, dźwięki umiarkowanego narodowego i towarzyskiego upijania się przy każdej okoliczności, — trudno tedy pragnąć, ażeby abstynencja znalazła oddźwięk szerszy wśród takiego nastroju, lub też miejsce w koncercie, gdzie pierwsze skrzypce spoczęły w rękach prof. Kleckiego. Że jednak nie stoimy odsobnieni, jak się to zdaje prof. Kleckiemu, że w świecie naukowym naszym znajdujemy oddźwięk przychylny dla naszej sprawy, może świadczyć pismo następujące od jednej z naszych powag naukowych otrzymane:

„Kwestja, czy alkohol posiada wartość odżywczą tj. czy może zastąpić bezazotne składniki pokarmów, była przedmiotem rozlicznych badań i obecnie jeszcze nie schodzi z porządku dziennego literatury fizjologicznej i lekarskiej. To samo już wskazuje, że akta tej sprawy nie są zamknięte.

Wszelako dwie rzeczy z całą stanowczością twierdzić można:

1. Wartość odżywcza alkoholu, jeżeli wogóle mu ją przyznamy, jest stosunkowo niewielka i tę ilość energji chemicznej, którąbyśmy chcieli przyjąć w postaci alkoholu bez odurzania się, bardzo łatwo zastąpić można drobną ilością codziennych nieszkodliwych pokarmów, jak cukru, mącznych przetworów, lub tłuszczu.

2. Natomiast nie ulega żadnej wątpliwości i ponad wszelką dyskusją góruje fakt, że alkohol jest silną trucizną dla organizmu ludzkiego, jak dla materji żywej w ogólności, że zatruwa nietylko tego człowieka, który się oddaje alkoholizmowi, lecz także, a w tem leży cały ogrom szkody, jaką alkohol wyrządził i wyrządza ludzkości, wybija piętno choroby i zwyrodnienia na jego potomstwie.

Kto jeszcze niezupełnie zobojętniał na niedolę ludzką, komu przedewszystkiem drogiem jest dobro ojczyzny, ten z prawdziwą radością śledzić musi znaczne postępy, które czyni zainicjowany niedawno u nas ruch abstynencyjny i musi pragnąć, aby ruch ten objął coraz szersze warstwy społeczeństwa.

We Lwowie, 24. lipca 1904“.

A. Beck.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Lipiner Zygfryd.* „*Widzenie ks. Piotra*“ w III. części „Dziadów“. Lwów 1904. Nakładem księgarni H. Altenberga. Po tylu licznych próbach rozwiązania zagadki, mieszczącej się w widzeniu ks. Piotra, odgadnięcia tajemniczej cyfry 44, otrzymaliśmy znowu nowe rozwiązanie, tem od innych cenniejsze, ile że wyszło z pod pióra znanego tłumacza „Dziadów“ na język niemiecki. Na podstawie dokładnej znajomości nie tylko życia, ale i wykładów paryskich, oraz poglądów mesjanistycznych Mickiewicza, starał się autor, w sposób możliwie najprostszy, wytłumaczyć zagadkową liczbę. 44 tedy ma jego zdaniem oznaczać „gminę“, sprowadzając zaś ten wyraz, teoretycznie uzyskany, do jakiegoś praktycznego zastosowania, sądzi autor, że Mickiewicz uważał gminę słowiańską za przyszłego namiestnika narodu. Czy i o ile to tłumaczenie jest prawdopodobne, trudno stanowczo twierdzić. W każdym razie nie jest ono ani na jotę mniej prawdopodobne od innych wyjaśnień tej zagadki. Praca ta była pierwotnie drukowana w „Krytyce“, obecne zaś jej wydanie jest nieco powiększone. S—i.

Z tłumaczeń Szekspira. Polityk, mówca, literat, poeta, powieściopisarz i t. d. jednem słowem hr. Wojciech Dzieduszycki ogłosił obecnie w Krakowie parę dzieł Szekspira w tłumaczeniu polskiem. Wychodząc z zasady, że pisarza takiego, jak Szekspir, niezwykle jest trudno tłumaczyć na język dzisiejszy, spróbował hr. Wojciech Dzieduszycki tłumaczenia staropolskim językiem wraz z archaizmami, współczesnymi mniej więcej epoce Szekspira. Obok dramatów znanych, jak „Burza“, „Romeo i Julja“, „Król Lear“ i t. d. przetłumaczył hr. Wojciech Dzieduszycki także nieznane u nas dotąd, a jedno z pierwszych dzieł Szekspira „Venus i Adonis“, napisane na tle erotycznej, starej baśni, w tym rodzaju, który w epoce renesansowej był bardzo ulubiony.

NOTATKI. *Koniec zaułka.* Ruskie towarzystwo asekuracyjne „Dniestr“ zakupiło naprzeciw cerkwi wołoskiej przy ulicy Ruskiej szereg domów, aby po zburzeniu wybudować na ich miejscu gmach na pomieszczenie swoich biur. Między innymi rozebrano w tych dniach ciekawy budynek, który po chwilach świetności jeszcze w XVII. i XVIII. wieku, przedstawiał dotychczas ruderę nie do użycia. Jestto mieszczący się w podwórzu kamienicy (ul. Ruska 20) dom, który w połowie XVII. stulecia należał do Greka, osiadłego we Lwowie, Cyrjaka Izarowicza, kupca hurtownego i „faktora“ króla Michała. Dom ten był dawniej oddzielony tylko zajazdem od ulicy a na podwórzu jego, które miało niegdyś krużganek, zachowały się jeszcze pięknie rzeźbione, kamienne oddrzwia. Dom ten później przeszedł na własność biskupa Szumlańskiego, któremu służył za pałac, jak o tem świadczyła tablica, z którą nie wiedzieć, co się stało, z napisem następującym: Józef z Witwicy Szumlański, z Bożej łaski Episkop lwowski i Halicki, Kijowski Administrator (Archimandryta) a tego pałacu pan“.

Obecnie resztki tego „pałacu“ legły w gruzach.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.